Rozmaitości

DNIA 7. CZERWCA | Ner 23. | 1834 ROKU.

CZERWONY PŁASZCZ.

POWIEŚĆ PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

(Myśl wzięta z J. F. Castelli, wolno i wierszem przerobiona przez *i--n--k.)*

Byłoto, pomnę, już w początkach grudnia,
W głuchej jesieni, w nieprzyjemnej porze.
Jechałem konno. Dzień się miał z południa,
Słońce wisiało w szarawym wieczorze.
Przyroda marła. Gdziem powiódł oczyma,
Wszystko w dłoń skrzepłą brała blizka zima.
Spieszyłem raźno, nie leniłem biegu
Domowe bogi uczcić na noclegu.
Pokąd mię droga wiodła przez równiny,
Mógłem pogonić, mógłem lotem ptaka
Z wiatrem w przegony wypuścić rumaka;
Ale gdy przyszło spuszczać się w doliny,
Pomiędzy skały piąć się krętą drogą;
Zacząłem sępieć i być kwaśnej miny.
Jechałem z wolna, i noga za nogą.
Niechętniem zwracał konia ku tej stronie,
Gdzie ledwie ścieżka bieżała manowcem;
Byłoto smutne, ponure ustronie,
Zasiane świerkiem, głogiem i jałowcem.
Na prawo miałem spiętrzone urwiska,
W olbrzymie kształty pod niebo sterczące;
Na lewo, zamku odwieczne zwaliska,
Pod sobą, nurty strumienia szumiące.
Słońce świeciło tak w bladym sposobie,
Jak świecić zwykła zmarłym lampa w grobie.
Przeprawa taka serca nie rozpieści,
Ani na piękne nmysłu nie stroi;
W każdem zacieniu zbójca z nożem stoi,
W pamięć się suną strasznych przygód wieści;
Zwłaszcza gdy wjedziem w te miejsca samotnie,
Gdzie się nie dobre zdarzało istotnie.
Ledwie com przebył wąwozy skaliste,
Noc się spuściła, i tak pociemniało,
Żem nic nie widział, albo bardzo mało.
Wszelkich przedmiotów kir osunął lice,
Wszystko przed okiem tak stanęło ciasno;
Że gdybym chciał był poznać rękę własną,
Musiałbym mocno wytężyć źrenicę.
Wichr zawył dziko — i z takim szelestem
Po obu stronach pogonił po błoniu,
Żem w strony obie zachwiał się na koniu,
Przytomność stracił, nie wiedział gdzie jestem.
Tak trwało chwilę. Przyszedłem do siebie,
I wypuszczone wziąłem w rękę lejce.
Wkrótce się księżyc wykroił na niebie,
Czarownem światłem zwidnił okolicę.
Jakżem odetchnął i poglądnął błogo!
Czyniąc krzyż święty strach nazwałem marą.
W tem — koń się zaciął, w ziemię zarył nogą,
I z miejsca ruszyć nie chciał żadną miarą.
Kiedy go bodę, ile w mojej sile,
I w poskok zrywam twardą uździenicą;
Jakżem się wzdrygnął, gdym się przy mogile
Pod wzniosłą nagle ujrzał szubienicą,
Na której na mnie, na kształt złego zwierza,
Straszny wisielec oczy wprost wyszczerza,
I na łańcuchu wiatrem kołysany,
Zda się w powietrzu stroić skoczne tany —!
Choć mi z natury dłoń do broni rosła,
Serce od młodu w przygodę kamiało;
Przecież mi czapka w górę się podniosła,
W szkaradne widmo nie patrzyłem śmiało.
Zwróciłem konia na bok od gościńca,
Gdy mu w przydatek i ostrogę dałem;
Na tyle za mną pozostał złoczyńca,
A jam w las wjechał szybkim konia strzałem.
Jak gdyby w głuchej, głębokiej jaskini,
Mistyczne tutaj mieszkało milczenie.
Pogodny błękit tło powietrza sini,
Po niem mkły księżyc rozwodząc promienie,
W poświetny pokost brał natury dzieła,
Barw nie żałował, zlewał niemi hojnie.
Liść nie szelestnął, gałąź nie szepnęła,
Dęby ni wieszcze, stały w zadumaniu.
We mnie, jak pszczoły, wiły myśli rojnie.
Po strasznem owem z wisielcem rozstaniu,
Szeroką drogą jechałem spokojnie,
Gdy oto zdala, jakby ucho śniło,
Coś za mną z tyłu w pogoń zadzwoniło.
Na raziem sądził, że echo po lesie
Tętent kopyta konia mego niesie;

Ale gdym stanął i słuchał w ustroni,
Miałem wyraźnie, że ktoś konno goni,
Że jazda jego coraz bardziej chyża,
Że spieszniej, spieszniej ku mnie się przybliża.
Dopierom teraz pożałował mocno,
Żem bez oręża obrał podróż nocną!
Nie chcąc się dłużej biedzić próżną trwogą,
Patrzę za siebie — nie widzę nikogo.
»Mara zwodnicza,« w duchu pomyślałem,
I przypuściłem konia żwawym cwałem;
Ale daremnie. W tejże zaraz dobie
I za mną w tyle cwałowało sobie!
Chociaż to słyszę, krzepię się pociechą,
Żem złudy baśnią, że mię drażni echo.
Kiedy mój umysł odwagi nie traci,
A ja się z lasu prędzej wybiedź kwapię;
Widzę przy sobie — na kościstej szkapie,
Człowieka — chudej, sążnistej postaci!
Siedzi, jak wryty, i ani się ruszy,
Mróz mię owionął, byłem jak bez duszy.
Nie śmiem i spojrzeć; lecz gdy rzucę okiem,
Nie bardzo miłym pieszczę się widokiem:
Miał czarne oczy, świecące i wielkie,
Twarz żółto-śniadę. Włos zwisły kędziorem.
Kapelusz w górę, i z czerwonem piórem.
Spodnie odęte. Czarną kamizelkę.
Lecz jakież było moje zadziwienie,
Jakie w mej głowie myśli się nie snuły;
Że w zimnej porze, na zimno nie czuły,
Jakby na upał, zaniedbał odzienie!
Mnie dreszcz przenika, zimno palce kuli,
Że lejc utrzymać daję sobie pracę;
On z gołą szyją i w jednej koszuli,
Choć płaszcz czerwony wisi na kulbace!
Jedziemy razem, i milczymy oba,
Kto mój towarzysz, ani pojąć mogę;
Już dobrą chwilę odbywamy drogę,
W słup oczy trzyma, jak martwa osoba.
Chcąc stracić widmo z piekielnych czeluści,
Puszczam się w galop i żegnam od złego —
Ze mną galopem równie szkapa jego!
Zawsze tuż przy mnie, ani się mnie puści.
Tego już nadto!... Przedsięwzięcie robię,
Co bądź się stanie, wymódz jakieś słowo:
»Pan ze mną jechać ułożyłeś sobie?«
Wyciągnął szyję i w dół skinął głową;
A po mnie dreszczu zimne mrówki zbieżą,
Członki dygocą i włosy się jeżą!
W tem w twarz mu światło jaśniej zamigoci,
Widzę wyraźnie, że widmo się poci;
Kołnierz koszuli, potem przesiąkniony,
Odsłonił szyję, opadł w obie strony.
On, nito martwy, na szkapie pomyka,
Cień go maluje; jedzie długa tyka!
Chcę w bok ujechać, choć na kilka sążni,
Chcę się śmiałością pokrzepić w mej trwodze;
Ale na próżno; w jedne drogę dążni,
Na ciasnej znowu zjeżdzamy się drodze.
Darmo się w myśli zatrudniam rozbiorem,
Jadę, a nie wiem, z bisem, czy z upiorem?
Nakoniec gwałtem bojaźń pokonywam
I w te do niego słowa się odzywam:
»Wiatr zadął ostro, pociąga szyjąco!« —
»»Proszę wziąć płaszcz mój, będzie mu gorąco!««
Odpowie na to i w tej samej chwili
Dać płaszcz czerwony z kulbaki się chyli.
»Nie, nie! dziękuję; niech się pan nie trudzi;
»Ja do wygodnych nie należę ludzi;...
»Na wszystkom zwykły, twardy jak żelazo.« —
»»No, to się może przyda inną razą.««
Odrzekł szyderczo i tak naprzód skoczył,
Żem zanim spojrzał, a już go nie z-oczył!
Tylko w kurzawie, wiatrem rozscielony,
Kiedy niekiedy powiał płaszcz czerwony.
Dopierom teraz dał odprawę trosce,
Wolno odetchnął i zażył swobody!
Las zaczął rzednieć — kur zapiał na wiosce,
A jam nie długo wjechał do gospody.
Żądam dla konia najlepszej wygody,
Dla siebie izby ogrzanej do spania;
Gospodarz chętny nizko mi się kłania;
Pierwsze przyrzeka, ale drugie wzbrania,
Mówiąc, że właśnie teraz dostał gościa,
Który ostatnią zajął mu izdebkę;
Jednak, gdy zechcę, pójdzie do ichmościa,
By mi wyrobił służyć mu w przyczepkę.
Cóż miałem czynić, zezwoliłem na to.
Nie długo bawił mój wysłaniec skrzętny;
Niesie wiadomość, że gość bardzo chętny,
Chce się podzielić sercem i komnatą.
Ujął mię bardzo. Idę spiesznym krokiem
Poznać tę zacność, tak rzadką w przygodzie;
Gospodarz świeci, cieszy mię widokiem
Grzecznej osoby, przyjemnej w obchodzie.
Gdy drzwi otworzył, a jam na próg wkroczył,
W tył mną rzuciło, ażem się zatoczył!
Na środku izby, w krześle rozłożony
Mój nieznajomy, przy nim płaszcz czerwony!
Gdybym się nie był wstydził gospodarza,
Który nie wiedząc co mi się wydarza,
Patrzył się na mnie jakby na raroga;
Mojaby naprzód nie stąpiła noga;
Ale gdym w sobie zważył pokryjomu,
Żem między ludźmi, w zamieszkanym domu;
Wszedłem odważnie i dość obcesowo.
On się nie ruszył, tylko kiwnął głową,
I usiąść prosił niedbałem skinieniem;
Jam podziękował, mierząc go spojrzeniem.
Przeszedłem izbę, siadłem przy kominie,
Z ubocza patrzę, co to jest za człowiek;
Coś niemiłego czytam w jego minie,
Oko nie dobre wyglądało z powiek!

Pierwsza nam chwila płynęła milcząco;
Ale gdym drewek żądał do palenia,
Porwał się z krzesła, jak dla usłużenia:
»»Proszę wziąć płaszcz mój, będzie mu gorąco!««
»Dziękuję panu,« odrzekłem bez zwłoki,
»Ja przy płomyku lubię wygrzać boki;
»Lubię kłaść drewka, dołamywać chrustu —
»Pan widzę ze mną nie jednego gustu.«
Skinąwszy głową nic nie odpowiedzał,
I znowu siedzi, jak i dawniej siedział.
Tu wszedł gospodarz. Ja mu rozkaz daję.
Zaciera ręce i sam to przyznaje,
Że zimno tęgie. Kłania się i znika.
Jesteśmy sami. Patrzę w mego dzika.
W zegarze sykło — i chce bić jedynasta.
Ledwie raz dźwiękło — on zawołał: »»Basta!««
I zegar umilkł, jak gdyby zaklęty.
»Zbaw mię od złego mój patronie święty!«
Tak mimowolnie do siebie szepnąłem.
Czem jest ten człowiek? Juźcie nie aniołem.
Z piórem kapelusz — niby ubior włoski,
Czarować umie, nie lepiej Twardoski!
Tak sobie myślę; w tem wchodzi dziewczynka,
Za nią gosposia spaniale otyła;
Gdy nam się obom pięknie ukłoniła,
Jęła się krzątać około kominka.
Chociaż żar kładą, idzie im pomału.
Smółki sosnowe — i brzezina sucha;
Dziewczę wachluje, gospodyni dmucha,
Nie mogą jednak przywieść do rozpału!
Dziwią się obie. On pociągnął twarzą,
Ręce złożywszy trzyma wzrok w powale.
Mimo podmuchów węgle się nie żarzą.
»Ja tu, jak widzę, dzisiaj nie rozpalę,«
Rzekła gosposia, toż samo dziewczyna.
»To jakieś czary, w Imię Ojca, Syna!
Co się zachwyci, to znowu zagaśnie.
Kto ma sen dobry, i na zimno zaśnie.«
Piękna pociecha —; powtarzają dzieło,
Ale daremnie! Kładą wiory, kłaki —
Nic się nie ima — i skutek jednaki.
Razem w polanku tak skwierczeć zaczęło,
Jak skwierczy w ciele dusza konająca!
Uciekła pani, a za nią służąca.
Chcę z niemi bieżeć, już mię z niemi niesło,
Kurcz nogi bierze, upadam na krzesło.
Siedzę przykuty. Idzie chwila cicha.
Mój nieznajomy gorzko się uśmiecha.
Twarz mu żółknieje, nos się wdłuż przeciąga,
Gębę roztwiera — jak paszcz dziwoląga!
»»Niech się pan kładzie,«« rzecze do mnie wstawszy.
»»Pan mię unika — ja jestem łaskawszy:
»»Przykryję pana mym płaszczem czerwonym,
»»Jak szyna w ogniu będziesz rozpalonym!««
To mówiąc bierze i płaszcz rozprzestrzenia,
Czarnym niedźwiedziem jest podbity cały.
Już we mnie duchu nie ma z wylęknienia,
Gdy się krwie świeżej plamy pokazały!
Co tylko miałem, wszystkie zbieram siły,
Krzesłem od siebie ciskam siłą słonia,
Uderzam we drzwi, drzwi się otworzyły,
Już jestem w stajni, już dosiadam konia,
Jużem pod niebem, już mię biorą błonia —
Głos widma w stajni krzyczy »»Konia! konia!««
Chce za mną gonić.....
»Mój kasztanku drogi!
»Jeźli mię dzisiaj twoje zbawią nogi,
»Jeźli się zdrowym do domu dostanę;
»Tokajskiem winem zmyję z ciebie pianę;
»Za twą przysługę, za twe chęci wierne,
»Dam owieś złoty, dam wonną lucernę!«*
A koń się cieszy, miło uszkiem strzyże,
Tak się rozciąga, aż brzuch ziemię liże —!
Tą się chyżością pojęc tak dalece,
Nie wiem, czy myślę, czyli koniem lecę. —
Widzę punkt mały, widzę go radośnie,
Coraz się szerzy, wydatniejszym staje;
Zbliżam się, zbliżam, a on bardziej rośnie,
Widzę mój domek, już losom nie łaję.
Wpędzam w podwórze, stróżowie szczęknęli,
Sień się otwiera, stoi postać w bieli.
Ja z konia zsiadam, spieszę w jéj ramiona,
Któż mię to ściska? Ukochana żona!
»Hola, Łukaszu, przeprowadź kasztanka,
»Daj mu owsiku, daj drobnego sianka,
»Daj mu najczystszej, kryształowej wody,
»Niech wszelkie, słyszysz! wszelkie ma wygody.
Wchodzę w świetlicę, żona przy mnie siada,
Całuskiem wita, pot ociera z czoła;
Wzajem całuskiem odwdzięczam anioła. —
Dają posiłek. Ona opowiada:
»Mamy tu gościa, zacnego szlachcica,
»Twoją przyjaźnią mocno się zaszczyca;
»Dawny przyjaciel, jeszcze ze szkół znany.«
— »Mocno się cieszę, jest mi pożądany.
»Czemuż nie idzie?« — »Już dawno spoczywa.«
— »I nas, żoneczko, do łóżka czas wzywa.« —
Pierwsza wybiła. Cały dom w uspieniu.
Księżyc zatonął, blaski w chmurach zgasił;
Czasami tylko w swojem rozżaleniu,
Zajrzał w komnatę, ciemne szyby skrasił.
O mej przygodzie w myśli zatrudniony,
Długo w sen błogi nie miałem oznaki;
Patrzyłem ku drzwiom gościa mojej żony,
I na myśl wiodłem, ktobyto był taki?
Wiatr po dziedzińcu, jak syn marnotrawny,
Zaczął na różne wyspiewywać nóty;
Zacząłem tonąć w jego spiew zabawny,
I byłem zwolna siecią snu osnuty.
Ledwiem przez chwilę bawił w takim stanie,
Budzi mię szelest — sen z powiek ucieka;

* Rodzaj koniczyny.

)(2

Kapelusz z piórem błąka się po ścianie,
Słyszę — coś idzie — i stawa — i czeka.
Z początku mniemam, że się próżno zwodzę,
Że mię słuch drażni, że to czczym pozorem;
Ale gdy spojrzę — w jakiejż jestem trwodze!
Widzę drzwi gościa stojące otworem.
Odchylam zlekka połę od firanek,
Patrzę po kątach — i nic nie znachodzę;
Ale gdy mocniéj zabłysnął kaganek —
Coś ku mnie rakiem sunie na podłodze.
»Kto tu!« wrzasnąłem, i szukam obrony.
»»Jamto! przyjaciel, niosę płaszcz czerwony.««
»Tyśto, przeklęty—!« tutaj tracę mowę.
On płaszcz czerwony ciska mi na głowę!
Ja go za gardło ściskam z całej mocy,
Kaganek gaśnie, bijemy się w nocy.
Jużem go złamał, już chcę zdusić wroga...
»Ocknijej się, mężu, co czynisz przez Boga!
»Chcesz mię udusić?« Słyszę głos pieszczony,
Otwieram oczy — leżę obok żony!.....
Za firankami, pod kołdrą pąsową.
Snem było widmo, snem i płaszcz czerwony.
Całe zdarzenie marzenia osnową
Skorom usłyszał wszystkie moje sprawki,
Kazałem sobie postawić pijawki.

LITERACI FRANCUZCY.

(Z niemieckiego.)

Thiers przybył z południowéj Francyi do Paryża ubogim młodym człowiekiem. Nawet jeszcze jako redaktor dziennika *Constitutionel* mieszkał na czwartém piętrze. A teraz jest ministrem, który już wielkie burze przebył, już nie w jednem znajdował się przesileniu; który statecznie opiéra się szyderstwu, w brew popularności postępuje, i ożenił się z cudnie piękną, młodziutką i niezmiernie bogatą damą, a co rzecz najosobliwsza, przy kontrakcie ślubnym zapisał jéj z własnego majątku milijon gotówką! Gospodarz domu, gdzie on niegdyś mieszkał, kazał nad jego pokojem napisać złotémi literami: »Tu mieszkał Thiers!« mniemając, że nie jeden kawaler *di buona fortuna*, złudzony szczęścia nadzieją, zechce się do tego mieszkania wprowadzić. Lecz tylko Thiers tak daleko doprowadził. Jeden z milijonów. A te milijony franków nie zebrał sobie z *Constitutionela*, nie z swoich »Dziejów rewolucyi,« lecz — jak mówią w Paryżu — spekylacyjami giełdowémi. Ale co do mnie, byłbym kontent z losu Wiktora Hugo. Poprzestałbym na tém, ażebym tak żyjąc, jak ten posępny, głęboko-czujący romantyk, stwarzał w około siebie pustynią z gotyckich mebl ów mahoniowych i z nowomodno-staroświeckich gobelinów! Ażebym, niezmiernie w myślach zacieczony, zanurzał się w framugach okien z szybami kolorowémi i czytał oprawne w baranie skóry książki, z których Hugo stare dzieje czerpie i w téj samotności pociesza się tylko — dobrym obiadem, młodą żoną, zgrabną kochaneczką w teatrze... i obcowaniem z kilką przyjaciołmi. W téjto samotni sybirskiéj zamyka się przed światem, jak tylko sztukę jaką dramatyczną ukończy, i tymczasem nad nową rozmyśla, kiedy naród jeszcze dawniéjszą się nasyca. Z tegoto ustronia ogłasza swoje poezyjne arcydzieła. Co się lat tyczé, nie doszedł jeszcze Wiktor Hugo do trzydziestu; lecz w dochodach ma już zapewne ze trzydzieści tysięcy franków rocznie.

Na ile Alexandra Dumas we względzie pieniężnym szacować można, nie wiém dokładnie; może nie wyrównywa Wiktorowi Hugo, swojemu wielkiemu przeciwnikowi, lecz i z nimbym się pomieniał. Czasem dworuje klasykom, co wprawdzie nie robi dochodów, lecz robi przyjaciół, a ci tak są potrzebni podczas piérwszéj i drugiéj wystawy sztuki, ponieważ te dwie piérwsze wystawy wyrokują o wartości dzieła dramatycznego, to jest, wiele pieniędzy przyniesie. Dumas jest bez wątpienia pomiędzy romantykami najważniéjszym po Hugonie, to jest: najwięcéj ma zysku. A jednak obaj co do tego szczegółu nie wyrównywają jednemu, co nie jest ani romantykiem, ani klasykiem, to jest: niewyczerpanemu i zawsze przyjemnemu Scribe. Mato być człowiek, posiadający już sto-tysięcy frank. dochodu! I te przetraca z przyjaciołmi i przyjaciołkami swojémi śród ciągłe wesołych bankietów. Hugo i Dumas sąto najświetniéjsi, ale nie najwięcéj jeszcze wpływu mający autorowie młodéj Francyi. Takich także jest mnóstwo, co na dnie pracują dla zapełnienia zgłodniałych długich kolumn gazet i dzienników. Lecz tych policzyć można, którzy od wszystkich są poszukiwani, i których roboty ze złotem idą na wagę. Tym bezprzecznie przodkuje Julijusz Janin. Podczas wielkiéj opozycyi przeciw starszéj linii Burbonów pisał dla *Figara* i dla dzień. *Quotidienne*. Zmieniał się dziesięć-krotnie,

lecz zawsze tylko, jak się tłumaczy, ażeby w opozycyi pozostać. Włada bronią dowcipu, jak mało kto z jemu podobnych; ma jednak naśladowcę, który go z czasem zgubi, a tym jest -— on sam. Poznać go można w każdym zwrocie. A jednak jest on teraz **mistrzem zabaw** w dziennikach, on w nich ton daje i jest wszędzie i nigdzie. Nié ma dobrego dziennika bez jego artykułów, i każde pismo, rozpoczynające życie swoje, musi być wstępnym jego artykułem, kupionym za drogie pieniądze, poświęcone. Wiadomości jego są mało znaczące, wiara tak polityczna, jak i religijna, równa zero, a jednak umié pisać o wszystkiém, co tylko jest na świecie, jak gdyby to widział własnémi oczyma i umié się wkłamać w nabożność Indyjanów, równie jak we czczy deizm, lub w niedowiarstwo, zgoła we wszystko, za co mu płacą. Został przytém człowiekiem, który ma najmniéj 25,000 fr. do stracenia, a gdy idzie przez bulewary, prowadząc swoję piękną Angielkę, wtedy pokazują na niego i mówią: »To jest Julijusz Janin.« Niegdyś, chcąc się widzieć z panem Julijuszem Janin, musiałem, wydrapawszy się na czwarte lub piąte piętro, zapukać do drzwi z deszczułek, i przez nie dostawać się do izdebki, któréj połowę zajmowało łóżko, a nie gładka posadzka z cegieł nie była przykryta dywanem; nawet ją zaledwo raz w tydzień zamiatano. Tak stali dawniéj wszyscy młodzi autorowie, a teraz? Każdy mieszka na piérwszém piętrze, ma kilka wytwornie umeblowanych pokoi, służących, kabryjolety, elegancką małżonkę, lub czarującą kochankę.

Eugenijusz Sue, Balzac, St. Beuve są również poszukiwani od dzienników i nie mniéj drogo każą sobie za artykuły płacić. Wszyscy mają powozy i lokajów, a dochody ich sięgają także do 25,000 frank.

O jednym jeszcze arcy-dowcipnym człowieku zapomniéć nie należy, o **Bibliophilu Jacobie**. Prawdziwe jego nazwisko jest Paweł Lacroix. Człowiek ten więcéj zrobił, jak cały wiek. Zmieniający się ciągle w literaturze smak lat dziesięciu zaspakajał we wszystkiém, do czego tylko miano apetyt. Pisał czego tylko żądano i o czém pomyśléć można. Romanse staro-pobożne, historyczne, lubieżne, obrazy obyczajów, katalogi książek i pamiętniki, jakich kto tylko zapragnął. Rzecz nader dziwna, że przy talentach tak wielostronnych ma istotne wiadomości dzieł starych, jest jeszcze młodym, a przytém jednym z najzacniejszych ludzi, mających rocznie 25,000 frank. do stracenia.

ANEGDOTY HISTORYCZNE.

(Z dzieła wyszłego w Paryżu r. 1833, pod tytułem: *Le Conteur du salon, ou quarante années d'anecdotes.*)
Tłum. Tyg. Petersb.

Anegdoty prawdziwe dobrze malują ludzi i lepiéj dają poznać czasy, niż rozumowania historyków. Świadek naoczny opowiada, czytelnik sam wynajduje stosunki i wyciąga wnioski. Historyk maluje obraz czasów upłynionych; tworzy sobie pewne zdanie ze sprzecznych podań i tylko przez porównanie może dobrą wiarą wyszukiwać prawdy. Jeżeli historyk omylonym został przez pamiętniki niewierne, winą to jest tych, którzy go w błąd wprowadzili. Dobre chęci wystarczają na jego usprawiedliwienie. Ale opowiadacz, w ciaśniejszym zawarty obrębie, nié ma żadnéj za sobą wymówki, jeżeli przytoczył nieprawdziwy wypadek, gdyżto tylko opowiadać winien, co widział naocznie. Podług tego wyznania wiary i położenia, w jakiém się stawię, czytelnik niech sam osądzi, czyli zasługuję na wiarę w tém, co opowiadam.

1789.

Wiele mówiono o rozwiązłości obyczajów wyższych klass społeczności francuzkiéj w r. 1788 i pogardę, z jaką te klassy deptały wszelkie przyzwoitości, słusznie poczytywano za jednę z główniejszych przyczyn rewolucyi.

Hrabina de G., któréj ostatnie lata życia tak mało podobne były do lat młodości, i która nie wcześniéj się upamiętała, aż kiedy nie mogła już uczynić inaczéj, w r. 1788 w ścisłych zostawała związkach z hrabią R*, pułkownikiem dragonów. W jego szeregach znajdował się syn jednego poczciwego rolnika z Brie, który, przyjąwszy kieliszek wina od werbującego sierżanta, ocknął się nazajutrz żołniérzem. Strapiony ojciec ofiarował wykup, pułkownik przyrzekł uwolnić syna, lecz, na nieszczęście, dzieciuch był dorodny i dobrych skłonności; szef więc nié miał chęci go wypuścić i znajdował różne pozory, odwlekające skutek objetnicy. Młody dragon

dowiaduje się o stosunkach hrabiny G. ze swym dowódzcą, idzie więc śmiało do niéj, chcąc ją prosić o wstawienie się. Po należytém zameldowaniu wprowadzają go do salonu. Wielkim jakimś przypadkiem pan G. znajdował się wtenczas u żony. Nie wiedząc, iż mówi w obecności męża, dragon otwarcie wykłada swój interes. Hrabina, mimo swą zwykłą bezczelność, miesza się, waha i zdaje mało mieć ochoty do uskutecznienia proźby. Ale mąż, śmiejąc się, rzecze: »Moja kochana, nie możesz odmówić temu chłopcowi, powinnaś koniecznie uprosić pana R*. Chodzi tu o twą sławę; powiedzą, że cię pułkownik nie słucha. Przyjacielu,« dodał, obracając się do rekruta, »pójdź do hrabi R* i powiedź odemnie, że ja mu dam dymissyją, jeżeli ci jéj odmówi.« Ten żart zjednał największą sławę dla hrabi G. w ówczesném wyższém towarzystwie.

1808.

Panna L., młoda i ładna Kreolka z Martyniki, przybyła do Francyi w r. 1807. Matka jéj była niegdyś wielką przyjaciołką panny Józefiny de la Pagerie, która, zostawszy cesarzową, wzięła córkę do siebie na czytelnicę. Dziwny był wtenczas sposób życia panny L. Nie mając żadnego majątku, pensyja, jaką z tego urzędu pobiérała, wystarczała właśnie na stroje. Z jedną tylko służącą zajmowała ona, na ulicy *de la Victoire*, dwa szczupłe pokoiki. Każdego rana pojazd dworski zatrzymywał się przed jéj drzwiami i odwoził ją do pałacu; tam spędzała cały dzień, wśród najznakomitszych ludzi wieku, otoczona wszystkiémi rozkoszami przepychu, a wieczorem tenże sam pojazd odwoził ją do skromnego mieszkania. Panna L., ściągała uwagę we dworze równie przez swą piękność, jak i przez nienaganne postępowanie. Napoleon upodobał ją sobie. Przemówił i był wysłuchanym. Związek ten trwał już od kilku miesięcy, a jednak majątek panny L. bynajmniéj się nie powiększał; zawsze ta sama skromność w mieszkaniu, w sprzętach. Nigdy żadnego klejnotu. Nakoniec, kochanek ukoronowany (gdyż, niech co chcą mówią, ale miał on dobrze i należycie włożoną koronę), nie dał był jeszcze ani jednego podarunku, tylko malenką miniaturę, ze złotą obwódką, którą chowano jak najstaranniéj. Jednego poranku młody jegomość, w czarnym garniturze, stawi się u panny L. »Jestem piérwszym sekretarzem u pana M., notaryjusza, i przychodzę prosić panią o podpisanie prawa nabycia domu, któryś pani w naszym notaryjacie kupiła.« — »Jakto, ja kupiłam dom? mylisz się wćpan.« — »Przepraszam, nie mylę się bynajmniéj; wszak mam zaszczyt mówić z panną L., czytelnicą cesarzowéj jéjmości, i właśnie potrzeba, ażebyś pani podpisała oto tę kopiją, któréj oryginał nie zaniedbam wręczyć.« — Więc panna L. podpisuje. Jak tylko wyszedł sekretarz, panna L. rzuca okiem na papier, który u niéj pozostał. W rzeczy saméj jestto akt nabycia domu w Paryżu, za 200,000 frank., kupionego w jéj imieniu i zapłaconego w gotowiznie. Wkrótce domysły jéj się wyjaśniły i zgadła komu powinna dziękować. Za piérwszém widzeniem się po tym wypadku panna L. opowiada cesarzowi swoję przygodę: »Jeden tylko na świecie jest człowiek, co się mną interesuje, on jeden mógł być moim dobroczyńcą, a jednak braknie mi odwagi, ażeby mu dziękować.« — »Nie rozumiem,« odpowiedział cesarz, »o kim wćpanna mówisz, jednak cieszę się z tego wypadku. Niebo widocznie tobą się zajmuje i dobrze czyni, boś tego warta. Niebu więc podziękuj, ale ze mną więcéj o tém nie mów, bo się będę gniewał.«

Zdarzyło mi się słyszeć nie mało historyj o wielkich panach z dawnego dworu, jak oni umieli ofiarować swoim kochankom dary z pewnym wdziękiem, który, jak mniemano, był wyłącznym przymiotem wersalskich dworaków; nie myślę jednak, iżby można było postąpić z większą delikatnością, jak się cesarz znalazł w tym razie.

1821.

Onego czasu zachciało się księciu de ...., księciu z czasów cesarstwa, wejść do służby królewskiéj. Dla dopięcia tego wielkiego celu użył on wdania się pewnéj damy, z którą był niegdyś w ścisłych stosunkach, i która miała wielkie u Ludwika XVIII. zachowanie. W skutek tego, jakby na próbę, książę de .... otrzymał tajne zlecenie do Berlina w rzeczy małéj wagi. Za powrotem, zdając zeń swemu monarsze sprawę, dodał: że najgoretszém jego życzeniem jest poświęcić wszystkie swe siły na posługę J. K. Mości. »Mości książę,« rzekł król, »za czasów cesarstwa zajmowałeś

miéjsce, które pozwalało wćpanu wiedziéć wiele rzeczy i z gruntu znać ludzi. Wprzód, nim wezmę wćpana do osobistéj służby mojéj, trzeba iżbyś mi dowiódł największéj otwartości i dał poznać środki i ludzi, których używałeś. Nie mówię tu o moim pobycie w Weronie, Mitawie; tam miałem jeszcze mnóstwo służalców, ale wiedziałżeś wćpan o tém, co się działo w mym domu w Hartwell?« — »Tak jest, Najj. Panie, wiedziałem dzień w dzień o każdym kroku W. K. Mości.« — »Jakto! nawet w tém zaciszu! mocny Boże, któżto mógł tak okropnie mię zdradzać! Kto jest ten niegodziwy, co do tego stopnia nadużył mego zaufania! Mów, wymień go, rozkazuję!« — »Najj. Panie, będę musiał okrutny cios zadać czułemu sercu W. K. Mości.« — »Mów wćpan, królowie nazbyt często doznają zawodu w swych najdroższych uczuciach.« — »Ponieważ W. K. Mość koniecznie tego wymaga: powiem więc, że zostawałem w ciągłéj korespondencyi z księciem d'Aumont.« — »Czy podobna! o niegodziwy de Piennel (takie było pierwsze nazwisko księcia d'Aumont) jakto, on, który posiadał całą moję ufność,« wykrzyknął król z wielkiem wzruszeniem, »ach, to jest zdrada okropna! Wprawdzie,« dodał król ze złośliwym uśmiéchem, »winienem powiedzieć na jego usprawiedliwienie, że nigdy nie miał grosza, a mocno lubił faraona i kobiety; ja to sam, mości panie, dyktowałem owe listy, które co tydzień odbierałeś i za to dawałem mu 12,000 z tych 48,000 frank., któreś mu przysyłał bardzo regularnie, ażeby wiedzieć wszystko, co się w moim domu dzieje.« Na tém skończyło się posłuchanie i książę de .... odszedł mocno zmieszany.

— Ze Lwowa. —

W drukarni Piot. Pillera opuściły prasę: BAJKI I WIÉRSZE RÓŻNE Józ. Kal. Pajgerta. (Str. 163)

Ogród książąt Jabłonowskich we Lwowie, gdzie dziś jest ogromny i nowo-uplantowany plac popisow wojskowych, był niegdyś modnym i piérwszym z przechadzkowych w tém mieście. Bogusławski tym sposobem opisuje stan tego ogrodu r. 1796: »Był małemi wzgórkami i krzewiną »na kształt angielskich parków przeplatany, podzielony był »na ośm dużych czworoboków, zasadzonych wyniosłemi »lipami. Lipy te sadzone były w tym samym roku, w którym Jan III. z wyprawy wiedeńskiéj przez Lwów powracał.« Był tu także teatr letni na amfiteatrze, wystawionym przez malarza i architekta Maraino. Na teatrze tym dawano między innemi trzy razy raz po razu »Krakowiaki i Górale« Bogusławskiego. Nie raz widowisko sceniczne trwało tak długo, że się dopiero ze wschodem słońca kończyło, którego piérwsze promienie rozlewały blask uroczy po rozkosznych widokach teatru.

Maxymy arcybiskupa lwowskiego, Jana Dymitra Solikowskiego (urod. r. 1539 † 1603) wyjęte z opisów jego życia: »To u mnie ksiądz, kiedy nie przy księdzu, ale w księdzu widzę książkę. — Pałac biskupi nie jestto dwór króla, ani namiot wodza, nie trzeba, aby go warty strzegły. — Biskupem jestem, a przeto szafarzem majątku ubogich.« (Juszyński Dykcyj. poet. pol.) Był autorem i pisał po łacinie, a najważniéjsze dzieło jego jest: *Commentarius brevis rerum polonicarum,* wytłoczone w Gdańsku r. 1647. Wspominają o nim z pochwałą uczeni owczasowi: Posewin, Simonides, Manutius, Possel, a Belgijczyk Lipsiusz, światło swojego czasu, dawał mu w listach imię Wielkiego.

W Galicyi, równie jak w Krakowskiem i w Małopolszcze, lud prosty nazywa pospolicie koszulę śmiertelną zgłem. Wojcicki wyprowadza tę nazwę od zgliszcza, miejsca, gdzie trupów palono, któryto zwyczaj i w naszym kraju u pogan sławiańskich panował.

Z Warszawy. Wychodzi tu z rycinami Podróż malownicza około świata, wydawana we Francyi przez towarzystwo podróżników i uczonych, pod kierunkiem podróżnika Dumonta d'Urville. Tłumaczenie polskie jest pana Fr. S. Dmochowskiego. Pismo: Magazyn powszechny, także z rycinami (o którem jużeśmy dawniéj wspominali) doznaje tu wielkiego wzięcia.

Gazeta Krakowska umieściła w r. b. w dowcipnym artykule: »Historyja peruk.« Wyjmujemy z niego niektóre szczegóły w skróceniu, dodawszy własne uwagi. Autor, uważając historyją peruk pod względem naszego kraju, powiada, że zdaje mu się, iż Henryk Walezy, wynosząc się do swoich krajów, zostawił nam na pamiątkę peruki, lecz wielkie zachodzi podobieństwo, że pierwiastkowo jedynie u płci pięknéj znalazły cokolwiek względów. Jakoż widzimy nie raz na starożytnych portretach najcudniéjsze twarzyczki, peruką, jak stogiem siana, przytłoczone. Za Sasów zaczęły pomiędzy mężczyznami upowszechniać się peruki, z początku większi panowie nosili je, daléj mniejsi naśladować ich w tém zaczęli, w końcu służebni nawet przywdziali tę urojoną ozdobę i żaden elegancki dworzanin bez peruki okazać się nie śmiał. Wiek peruk wywiérał zgubny wpływ na sztuki piękne, szczególnie na malarstwo portretowe, szpecił ogrody nasze symetrycznem obcinaniem szpalerów i kazał nam zwrotkami ośmio-, jedenasto lub trzynasto-głoskowe pisywać wiersze, tak regularnie do rymów uporządkowane, jak loki na peruce owczasowego modnisia. W teatrze Hipolit, ubrany w peruce, wygłaszał upudrowanéj Fedrze monotonne tyrady Rasyna. Wojskowość nawet nie była od tego dziwactwa zupełnie wyłączoną. Stojący w Krakowie za króla Stanisława pułk piechoty, zwany Kompryczowskim (dziwne przekształcenie wyrazu *Kronprinz* z czasów saskich) nosił na paradę peruki pudrowane z gipsowémi lokami. Byłto czas, kiedy modnisie nasi, naśladując trzpiotów Wersalu, nie raz pojedynkowali się z sobą, jak maryjonetki, rożenkami w porcelanowych pochwach. Biada im była, jeżli karabela wmieszała się do ich sprawy, pogruchotała rożenki jak słomę. Lecz piérwsi byłyto lalki francuzko-polskie, drudzy rycérze Baru!

Voigt wyprowadza nazwę *Preussen* (Prusy) z polskiego. Powiada, że Polacy narody, na północ od siebie mieszkające, dzielili na pomorskie, to jest: po morze mieszkające, ztąd Pomorze, i na poruskie, to jest: po prowincyje ruskie mieszkające, zkąd Porussyja *(Preussen).*

Z Rossyi. W Petersburgu wyszedł nowy romans Bulharyna, pod tytułem: Mazeppa. W témże mieście wychodzi pism czasowych w języku rossyjskim 28; w Moskwie 10; w Kazanie 3; w Jarosławiu 1; w Odessie 3; w Rewalu 2; w Wilnie rossyjsko polskie 1. Ogółem wychodzi pism czasowych w języku rossyjskim 48.

Król. pruskie towarzystwo ku rozszérzeniu ogrodnictwa praktycznego podaje następujący prosty sposób odżywiania nie całkiem jeszcze zeschłych roślin: Należy dwie krople alkoholu, zmieszanego z kamforą, wpuścić do uncyi wody i wstawić w nie więdnącą roślinę Niechybnie ożywi się ona, jakto kilkakrotnie i z najlepszym skutkiem próbowano.

Napoleon Landais zapowiedział we Francyi wydanie słownika: *Dictionnaire géneral et grammatical des dictionnaires français,* który, co do dokładności i zupełności, wszystkie dotąd wyszłe słowniki ma przewyższać; bowiem zawiérać będzie nie tylko liczne nowo- utworzone wyrazy i zwroty aż do naszego czasu, lecz oraz dla korzyści cudzoziemców i mniej świadomych, przytoczy także w porządku alfabetycznym wszystkie nieregularne formy czasowników. — Paweł de Kock wydał nowy romans w Paryżu pod nazwą: *La pucelle de Belleville.*

Pan Salvandy podjął się był wygotować artykuł Bonaparte do wychodzącego w Paryżu francuzkiego Konwersacyjnego Słownika. Przedmiot ten pod jego piórem tak się dalece rozszérzył, że, miasto artykułu, dzieło dostaniemy. Artykuł, zawarty w trzynastym ciągu wspomnionego słownika, obejmuje piérwsze Bonapartego wystąpienie

na widownią świata, aż do ukończenia pierwszej wyprawy włoskiej. Reszta jego życia wyjdzie w następnych ciągach pod wyrazami konzulat i cesarstwo. Zdaje się z resztą, że pan Salvandy ten swój artykuł o Napoleonie nie w samym tylko słowniku konwersacyjnym pozostawi, lecz że takowego za podstawę osobnego dzieła użyje.

Długo oczekiwana wystawa sztuk pięknych i wyrobów krajowych rozpoczęła się w Paryżu z dniem 1. maja w czterech przysionkach świątyni na placu *Concorde*, i wypadła bardzo chwalebnie dla postępu w sztuce i przemyśle.

Aktor Noel, który przed kilku laty umarł w Paryżu w 118tym roku życia, był czynny przez lat 92 z wielką dla sceny korzyścią. Występował 28,010 razy, umierał 1040 razy, był 130 razy królem, 920 razy uczciwym człowiekiem, a 25,000 razy łotrem i nieszczęśliwym, nie tracąc wszakże wesołego humoru i swojego dobrego serca.

Wyszła w Madrycie nowa mappa Hiszpanii, ułożona przez D. Jose Mariano Vallejo, podług ostatniego rozmiaru z d. 30. listopada r. 1833, i pomnożona objaśnieniami.

Na teatrach hiszpańskich dają także czasami płody oryginalne. Tak niedawno dawano w Madrycie z wielkiemi oklaskami nowa trajedyją sławnego Martinez de la Rosa, pod nazwą: *La conjuration de Venecia* (Spisek w Wenecyi); a w ostatnich czasach trajedyją w 3ch aktach proza, pod tytułem: *Amor y honor, o los estragos de los pasiones*. (Miłość i honor, czyli zgubne skutki namiętności.)

Że liczba dzikich żwierząt była dawnémi czasy daleko większa, jak teraz, uczą nas dzieje. Wszystkie mocarstwa Europy nie byłyby w stanie tyle razem zebrać tych zwierząt, ile ich rzymscy wodzowie i cesarze podczas tryumfów i w teatrach na widok wystawiali. Widowiska te z dzikiemi zwiérzętami miały z początku zamiar polityczny, a poźniej stały się przedmiotem niedorzecznego zbytku. Meteliusz po zdobyciu Macedonii przyprowadził do Rzymu 150 słoniów, które w cyrku strzałami zabite zostały. Pompejusz przy otworzeniu teatru swojego wprowadził Rzymianom nosorożca z rogiem, 20 słoniów, które z sobą walczyły, 410 lampartow i 600 lwów, między którémi było 315 z grzywami. Rzymianie ułaskawili te drapieżne zwierzęta, i Antoniusz lwami zaprzężonémi jeździł po ulicach stolicy. Cezar pokazał ludowi 400 lwów i kazał 500 pieszym żołniérzom, a 500 jezdnym walczyć ze 40 słoniami. Przy poświęcaniu świątyni Marceliusza zabito 268 lwów i przeszło 300 lampartów. Wtedyto pokazał się w Rzymie w klatce żelaznéj piérwszy król tygrysów; zabito go w niéj, gdyż najśmielsi szermiérze bali się przeciw niemu wystąpić. Napis, umieszczony na pomniku w Ancyra, opiewa, że August kazał zabić w obliczu ludu 3,000 dzikich zwiérząt. Nie ochraniano nawet zwiérząt morskich. Krokodyle musiały w cyrku walczyć, a raz pokazał się tam nawet wąż ogromnéj wielkości, zapewne wąż olbrzymi z Afryki. Liczbę zwierząt, poświęconych przez Tytusa upodobaniu Rzymian w tych scenach krwawych, podają dziejopisarze na 9,000; Trajan daléj jeszcze ten zbytek posunął; po zwycięztwie swojem nad Partami kazał w cyrku zabić 11,000 zwiérząt różnego rodzaju. Najokazaléj jednak w tym względzie wystąpił cesarz Probus; kazał cyrk przemienić w las, po którym, oprócz mnóstwa zwiérząt z różnych krajów, biegało także 1000 strusiów.

Inżynier francuzki imieniem Villeroi zrobił nie dawno dziwny wynalazek pływania bardzo wygodnie pod powierzchnią wody. Machina, któréj do tego używał, jest z żelaza, ma długości 10 2/3, a szérokości 3 2/3 stopy. Środki do poruszania i obracania się pod wodą są podobne tym, jakiémi natura ryby obdarzyła. Dosyć trzech ludzi do wprawienia okręto w ruch, i można godzinę, a nawet dłużéj, zostawać pod wodą, nie czując najmniéjszej niewygody. Wynalazca twierdzi, że z machiną tą można się na 500 do 6,000 stóp w wodę zapuścić, gdzie jednak, dla braku światła, w zupełnéj znajdujemy się ciemności. Za pomocą takiego statku możnaby niewidzalnie podkraść się pod flotę nieprzyjacielską, zapalić okręty, i wszelką wyrządzać im szkodę. Podczas próby, jaką Villeroi robił, zanurzył się okręt na 15 do 18 stóp, a znajdujący się na nim ludzie zbierali muszle na dnie morza. Potem płynął daléj pod wodą w różnych kierunkach dla zabałamucenia łodzi, które go podczas nurkowania otaczały. W końcu wypłynął na powierzchnią wody w pewnéj od nich odległości i czas niejaki tu i ówdzie pływał. W głębokości 15 do 20 stóp mógł jeszcze pan Villeroi widzieć bardzo dokładnie wskazywacza na zegarku. »W chwili, gdyśmy pod wodę wpłynęli,« mówił, »dokładnie słyszeliśmy pomruk bałwanów, a światło do nas spadające drżało, podobnie do kołysania fali; czasem wydawało blask, jak gdyby z pryskających iskier pochodzący. Gdyśmy się jeszcze o 15 do 20 stóp głębiéj zapuścili, raptem ustało światło, a my znajdowaliśmy się w ciemności, która czasami tylko, i to na chwilę, przerwaną została, może mimo płynącą rybą, lub jaką rośliną morską.«

Że w każdym kraju jest więcej starych kobiet, jak mężczyzn, jestto rzeczą wiadomą; lecz, że kobiety, biorąc w przecięciu, w istocie dłużéj żyją, jak mężczyzni, potwierdza się to nie tylko z wykazów zmarłych, lecz także z tabel pobiérających dochody dożywotnie. Tak np: ze spisów ludności, pod względem na długość życia ułożonych w Genewie, okazuje się, że ze 100,000 urodz. obojéj płci, 691 kobiet dosięgło 90go wieku, a tylko 387 mężczyzn.

Pewien włościanin wjeżdżał do miasta. Wóz jego naładowany był pełnemi worami. »Co masz w tych worach?« zapytał dozorca rogatki. Z wyrazem tajemniczym na twarzy zbliżył się włościanin do niego i szepnął mu w ucho: »Owies wiozę, mój panie!« Zdawało to się dozorcy rzeczą podejrzaną: »Zapewne wiezie kontrabandę,« pomyślił sobie, »bo inaczéj, czegożby tak się ukrywał.« Zawołał więc kolegę swego, i obaj wszystkie wory jak najściśléj przeglądnęli, lecz nic nie znaleźli, oprócz owsa. »I dla czegoż tak skryte miny robiłeś?« zapytał urzędnik od rogatki. »Oto dla tego, mój panie,« odrzekł włościanin, ponieważ konie moje już z rok owsa nie widziały; jakby się więc dowiedziały, że go wiozę, a im nie dałem, toby z gniewu zapewne z miejsca nie ruszyły.«

Wkrótce nikt może nie zarzuci nam téj hańby, jakobyśmy małej ziemi naszéj dotąd nie znali. Ze wszystkich oto stron przygotowują znowu wyprawy do Afryki, któréj krajów środkowych prawie dotąd nie znano. Jedna wyprawa taka ma wypłynąć z Anglii, druga z Kapstadtu. Wiele korzyści i rozrywki obiecują sobie z tych podróży.

Lekarze malabarscy znają tylko trzy rodzaje słabości; z zimna, z gorąca i z wiatru. Słabość z gorąca leczą drażniącémi środkami, z wiatru stawianiem banick, a z zimna za pomocą pieprzu hiszpańskiego.

Ślepy podróżnik Hollmann w wydanej właśnie podróży swojej (o której już wzmiankowaliśmy) nadmienia o małżonce-faworytce księcia Efrainy ze Starego-Kalabaru (przy ujściu rzeki Nigru) w Afryce, która ma być tak otyłą, że z trudnością tylko chodzić, a nawet ledwo ruszać się może. Niewiasty, przeznaczone do haremu książęcia tego, muszą być piérwéj jak kapłony karmione, a zwłaszcza lemiészką, którą one w wielkiéj ilości i z największą szybkością połykają.

Sprostowanie. W przeszłym nrze Rozmait. na str. 175, w przedz. 1széj, wiersz. 4m, miasto Szuczawa, czytać: *Suczawa*, daléj w wierszu 21m, miasto w klatków, czytać: *w klatkach*. Na str. 176, w przedz. 1széj, w wierszu 2gim, miasto co najmniéj wełny mają, czytać: *co najwięcéj* i t. d.

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.